**Katastrofa lawinowa na Czarnohorze.** — W miarę wrostu ruchu turystycznego powstają w odniesieniu do gór problemy. które przedtem wogóle nikogo, lub tylko nielicznych uczonych mogły interesować; problemem takim jest występowanie lawin w górach polskich. Obserwowaliśmy to przed wojną w Tatrach, gdzie wedle słów Marjusza Zaruskiego długi czas lawiny należały do «mitów», a już w r. 1911 «zdobyły sobie prawo obywatelstwa» [1]). Nikt chyba nie sądzi, że przed tym rokiem nie występowały, — bynajmniej; dopiero jednak wzmożony ruch turystyczny zimową porą sprawił, że z lawinami tatrzańskiemi zaczęto się zaznajamiać. Każdy odtąd niemal rocznik Pamiętnika T. T. a potem Wierchów przynosi opis jakiejś katastrofy lawinowej.

Analogiczne zjawisko możemy obecnie obserwować w Karpatach Wschodnich. Gdy do niedawna problem lawin w górach tych wogóle nie istniał, tragiczne wypadki lat ostatnich wysunęły go na porządek dzienny. Opinja publiczna, zaskoczona tragiczną śmiercią ś. p. Ralskiego, który w r. 1931 zginął porwany lawiną w uznanem dotąd za stuprocentowo bezpiecznem Sławsku, przypisywała ten fakt niezwykłemu wprost przypadkowi, nie wyciągając zeń żadnych wniosków. Rok 1933 przyniósł jednak nową ofiarę. Zasypany potworną lawiną zginął w kotle Breskulskim w Czarnohorze ś. p. Henryk Garapich. W tym samym dniu czterech narciarzy lwowskich szczęśliwym tylko trafem uniknęło zasypania przez olbrzymią lawinę na stokach Świdowca. Fakty te imperatywnie wprowadzają niebezpieczeństwo lawinowe do problemów zimowej turystyki wschodnio-karpackiej. By przestrzec i pouczyć, w jak niewinnych okolicznościach może się zrodzić śmiercionośna katastrofa chcę pokrótce zdać sprawę z wypadku, w którym ś. p. Garapich postradał życie, a p. Roman Puchalski i piszący te słowa cudem tylko uniknęliśmy jego losu.

Dziesięć dni trwała nasza wędrówka ze Sławska w Czarnohorę, przedłużana ciągle przymusowemi odpoczynkami z powodu świeżych śniegów i zawieji. Ostatni wielki opad przetrzymał nas w schronisku na Jalu, skąd w trzech etapach dotarliśmy w sobotę, 18/2 1933 r. do schroniska pod Howerlą. Jeszcze dzień odpoczynku po trudach wyprawy i powrót naznaczony na poniedziałek.

20. lutego, w dzień naznaczonego odjazdu, który ustaliliśmy na godz. 12-tą w południe, wyruszyliśmy na beztroski spacer po najbliższej okolicy schroniska, by użyć

jeszcze na słońcu, śniegu i zdjęciach. Byliśmy na Koźmieskiej, zaszliśmy na stację botaniczną na Pożyżewskiej, a że czas jeszcze starczył postanowiliśmy podejść do górnego kotła między Breskułem a Pożyżewską, skąd zapowiadał się niezły «szus» do dolnego kotła i ostatni zjazd do schroniska.

Kocioł ten znaliśmy wszyscy z wielokrotnych odwiedzin w ubiegłych latach, i nikt nie uważał go nigdy za niebezpieczny. O możliwości lawiny nie myśleliśmy wogóle, gdyż od ostatniego opadu minęło już 6 dni, a idąc do kotła minęliśmy kilka niewielkich lawinek, których stwardniałe rumowisko świadczyło, że zeszły już parę dni temu.

Bez żadnych oznak zapowiadających lawinę osiągnęliśmy dno górnego kotła, wywiane niemal do nagiej ziemi, pokryte wystającą wszędzie kosówką i głazami, w partjach zaśnieżonych zupełnie zeskorupiałe. Najlepszym dowodem tego bezśnieżnego stanu na dnie kotła jest, że dla swobodniejszego poruszania się odpiąłem narty. Obaj z p. P. szukaliśmy motywów do zdjęć. Chciałem autoknipsem uwiecznić naszą trójkę, i zwróciłem się do ś. p. Garapicha z prośbą by przystanął dla nastawienia na ostrość. «Poczekaj chwilę, tylko zjadę sobie «szusa» od tego świerka». To były jego ostatnie słowa.

W chwili rozmowy staliśmy ściśle w środku płaskiego w tem miejscu kotła; ś. p. Garapich długim zakosem w lewo zaczął podchodzić pod stok Pożyżewskiej — p. P. podążył za nim.

Nie uszli jeszcze jakich 150 m. zyskując kilkadziesiąt metrów pionu, gdy uwagę mą zwrócił głuchy huk, towarzyszący zwykle osiadaniu śniegu. Automatycznie podniosłem głowę, w sam czas, by spostrzec, jak kilkaset metrów przedemną, stojącym twarzą wprost ku przełęczy między Breskułem a Pożyżewską, a jakich 100 m. powyżej mnie stok śnieżny pękł, pęknięcie szybko się powiększało w obie strony, jakby otwierała się potworna paszcza, i cała połać śniegu poniżej pęknięcia poczęła marszczyć się i zwolna sunąć ku dołowi.



Zwały lawiny w kotle Breskuła podczas akcji ratunkowej.

*Fot. A. Zieliński.*

W tej samej chwili P. zawołał głośno na alarm i niespiesząc się zresztą zbytnio zjechał ku mnie. Oceniłem błyskawicznie, że stoję wprost na linji spadku, nie liczyłem jednak, by usuwająca się deska śnieżna doszła aż do mego stanowiska. Na wszelki wypadek jednak cofnąłem się kilka, potem kilkanaście kroków w prawo, poza przypuszczalny zasięg opadającej deski.

Nagle w toku cofania zauważyłem, że cienie na śniegu mimo pełnego dnia zeszarzały. Rzut oka ukazał mi straszliwe widowisko.

Stok pozbawiony, wskutek zejścia deski, swej podstawy, rozszerzający się lejkowato w amfiteatr otaczających kocioł ścian, ruszył

rozbijając się w chmurę pyłu, która przesłoniła słońce; z trzech stron waliły w dół olbrzymie masy śniegu.

Ś. p. Garapich zauważywszy schodzącą deskę nie zjechał za P., lecz cofał się powoli na nartach, oceniając zresztą słusznie, że znajduje się poza zasięgiem deski. Gdy ruszyła jednak lawina z górnych stoków, na ucieczkę było za późno; zaczął wprawdzie zjeżdżać w kierunku, w którym parę sekund przedtem zjechał P., lecz w zjeździe spotkał się z czołem sunącej się deski, która go powaliła, a pędząca z góry lawina przykryła i poniosła go, jak się później okazało kilkaset metrów ku dołowi. P. na nartach, ja bez, uciekaliśmy teraz co tchu po płaskiem dnie kotła na niewielką bulę morenową u jego dolnego krańca, którą instynktownie uznaliśmy za bezpieczną. Ostatnie spojrzenie pozwoliło nam jeszcze zobaczyć ś. p. Garapicha sunącego na czele schodzącej deski. Uśmiechnięty wyraz twarzy wskazywał, że nie zdawał sobie sprawy, a może i nie widział pędzącej z góry lawiny. W toku ucieczki ogarnął mię tuman śnieżnego pyłu, zrobiło się zupełnie ciemno, na łydkach uczułem uderzenie goniących brył śnieżnych.

Co się dalej stało nie pamiętam — oprzytomniałem na samym brzegu rumowiska, gdy było znowu cicho, spokojnie i słońce świeciło, jakby nic się nie stało. Na zbawczym wzgórku było nas tylko dwóch. Cały kocioł wypełniały olbrzymie zwały śniegu, jakby kto wysypał pudło wielkich, jak skrzynie, kostek cukru.

P. dysponujący nartami zjechał bez zwłoki do schroniska, skąd zaalarmował placówkę straży granicznej, a sam z pracownikiem schroniska powrócił po niespełna dwu godzinach, przynosząc tyczki i kilka łopat. Wkrótce nadeszło kilku strażników granicznych.

Od drugiej (wypadek zdarzył się o 11.45 o 12 mieliśmy wracać) do późnego zmierzchu przeszukiwaliśmy w piątkę teren katastrofy. Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie. Rumowisko lawiny wypełniło cały kocioł, wysuwając nawet jęzor do schodzącego do dolnego kotła żlebu, i zajęło powierzchnię kilkunastu morgów. W najdłuższej swej osi liczyły gruzy lawiny około 1 km., w najszerszem zwyż 200 m. Od miejsca gdzie stałem do miejsca ocalenia musiałem ubiec 60 do 70 kroków. Tyczkami i kijkami narciarskiemi sondowaliśmy miejsca, w których układ zeszłych strumieni lawiny pozwalał spodziewać się zaginionego towarzysza; bez rezultatu.

O 6-tej wieczór, już w ciemnościach nadeszła z Worochty półkompanja 36 p. p. pod komendą kpt. Łuckiego, która przy świetle

pochodni rozpoczęła pierwsze prace. Pomoc ta miała jednak niewystarczające wyposażenie, bo łącznie dysponowano jedynie 15 łopatami. Akcja trwała do 1-ej w nocy — nazajutrz podjęto ją od 6-ej rano. W czterdzieści osób, oficerów, żołnierzy, strażników i turystów pracowaliśmy przez cały dzień następny. Przekopano kilkanaście rowów, które pozwoliły stwierdzić, że głębokość lawiny wynosi 6 do 8 m. a miejscami sięga nawet 11 m. Przesondowano drutem zwały śniegu między rowami — znowu bez żadnego efektu.

Trzeciego dnia na domiar złego rozpętała się zadymka, śnieżyca i wichura. Marznąc na wietrze, w przemoczonych ciągłem brnięciem w śniegu butach, pracowała kolumna ratownicza przez trzeci dzień. Wieczorem nadeszły posiłki w liczbie dalszych 20 żołnierzy przywożąc oczekiwane narzędzia — kilkadziesiąt łopat oraz drut na dłuższe i grubsze sondy. Na szczęście wypogodziło się. Od rana rozpoczęto prace, postanowiwszy, że o ile nie wydadzą w ciągu dnia rezultatu, zostaną zaniechane aż do wiosny. Koło 10-tej rano jeden z żołnierzy natrafił kopiąc na nartę. Po wydobyciu ukazała się moja narta, strzaskana w pół jak zapałka.

W godzinę później podoficer, sondujący nieprzekopany jeszcze teren, natrafił w głębokości jakich 2 m. na opór. Rzuciliśmy się do łopat. W kilka chwil odkopaliśmy odwróconą spodem do góry nartę, za chwilę drugą, pod niemi skostniałe zwłoki.

Czterodniowa akcja uwieńczona została rezultatem, który potwierdził tragiczną prawdę.

Nazajutrz odbył się w Worochcie smutny obrzęd pogrzebu pierwszej ofiary Czarnohory.

Ponieśliśmy do grobu najlepszego przyjaciela, stałego i niezawodnego towarzysza wielu pięknych przejść i wypraw narciarskich.

Jego tragiczna choć piękna śmierć niechaj będzie przestrogą dla tych, którzy zbyt beztrosko i śmiało idą w lekceważone dotąd Karpaty.

*Adam Zieliński.*